

NUMER POJEDYŃCZY 10k.

ZŁOTY RÓC
ILUSTROWANY
TYGODNIK
LITERACKI ARTYSTYCZNY
I SPOŁECZNY



REDAKCJA i
ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. MAZOWIECKA N°5
TEL. N° 226-83.

N°

WARSZAWA
DNIA 28 STYCZNIA 1912 R.

6



Do powieści „Stare lwy”.

Antoni Gawiński.

Już była w jego objęciach, gdy nagle padł strzał... Koń zdębił się i runął...



ELIZA ORZESZKOWA.

Z dróg i losów myśli polskiej. *)

Z teki pośmiertnej.



zy rozłamanie się ludzkości na różne pomyślny grupy, czyli narody, poczytywać należy za zjawisko naturalne i konieczne?

Natura, na całym obszarze działań swych objawia niepojęte bogactwo pomysłów, rozwija niezliczoną ilość form, linii, wielkości, procesów powstawania życia i rozwoju. W garści zerwanej trawy, co dźbło to inne, na olbrzymiej mapie niebios, co świat, to inny, — w tumanie kurza- wy, przez wiatr niesionej, kryształki piasku różnią się z sobą w wadze, czy w kształcie, czy w szybkości pędu.

Natura działa nie przez ujednostajnianie, ale przez nieskończone różnicowanie swych tworów i właśnie z różnicowania tego powstaje jej bogactwo, wspaniałość i piękność. Wiedzą o tem dobrze wszyscy, którzy z podziwem i zachwytem przypatrywali się drzewom leśnym, kwiatom polnym, grom

barw i światła na niebie i morzu, przez teleskop światowi wielkości nieskończonej i przez mikroskop światowi nieskończonej małości.

Ród ludzki jest dziełem tej samej Siły Twórczej, której metaforycznie dajemy imię Natury, której imię: Bóg, tkwi i rozlega się w sercach zdolnych do wzbijania się ku świętej Wielkości i Nieskończoności.

Jak wśród zwierząt i roślin, wśród kryształów i wśród gwiazd, panuje wśród ludzkości prawo różnicowania się na indywidualia zbiorowe, które są narody i na indywidualia pojedyncze, z których każde jeszcze posiada w swym ustroju nieprzeliczone mnóstwo zróżnicowanych molekuł fizycznych i duchowych.

Wiedza i cywilizacja czynią podobnymi sobie u narodów różnych pewne formy fizycznego i duchownego bytu. Jednak wszystkie upodobnienia i pospólności, jako to: łatwość przenoszenia się z miejsca na miejsce, możność dzielenia się wiadomościami i myślami w czasie krótkim, ujednostajnienie odzieży, form obejścia się i towarzyskiego obcowania, to tylko wyrównanie powierzchni życia, nie dosiegające samego dna indywidualnych odrębności narodowych. Na dnie tem znajdują się różnice w charakterach, temperamentach, sile fizycznej, zdolnościach rąk i głów, w kierunkach myślenia, w stopniach odczuwania w smaku obyczajowym artystycznym i tym nawet, którego siedliskiem jest podniebienie.

Czy Francja mogłaby wydać Szekspira a w Anglii czy możliwym byłby Wiktor Hugo? Włoch Verdi nie mógłby skomponować sonat Bethovena, ani Boticelli malować flamandzkich obżerców i opojów. Przykłady podobne mnożyć można w nieskończoność, a podłożem z którego wyrastają, te różnice, jest, jako macierz przedwieczna i wieczna, różnica w prawach rozwijania się myśli, w zabarwieniach wyobraźni, w ustosunkowaniu organów ducha, odmiennej u narodów różnych psychice.

Zstępując niżej, takież różnice zachodzą w organizmach fizycznych, w budowach szkieletów, w przewodzie siły mięśniowej nad nerwową i odwrotnie, w uzdolnieniach i popędach, mających na celu byt fizyczny.

Jest na to wszystko w nauce ludzkiej tłómaczenie jasne i obszerne: pozycje jeograficzne, klimaty, gatunki gleby, przeszłości dziejowe, wszystko słowem co od powstania każdego narodu, aż do chwili obecnej stanowiło dla niego środowisko (milieu).

A do całej tej grupy doskonale zrozumiałych przyczyn należy podać tę jeszcze przyczynę tajemniczą i niedocieczoną, która sprawia, że człowiek jeden przychodzi na świat z wielkim sercem, inny z wielkim rozumem, jeden z pięknymi oczyma, inny z kształtnym nosem, ten z talentem muzycznym, tamten z malarskim, trzeci bez żadnego wcale talentu, lecz z wielką siłą w pięś-

*) Zastrzega się wszelkie prawa przedruku i przekładu.

ci i t. d. i t. d., a wszyscy pomimo tych różnic, bywają często synami nie tylko jednego klimatu i jednej gleby, lecz jednego gniazda. Ta sama przyczyna niedocieczona stoi nad kolebkami narodów i do każdej kolebki składa inne dziecię.

Rzeźba klimatów, gleb, przeszłości dziejowych i tej również przyczyny tajemniczej jest tak głęboką i trwałą, że częstokroć dobywa się na jaw z pod naleciałości obcych wtedy nawet, gdy zdawała się być pod niemi zdławioną i zagrzebaną. Dwaj grabarze: czas i przemoc, niekiedy przez wiele wieków usypują dla niej mogiłę, lecz oto przelatuje nad mogiłą jakiś powiew wskrzeszający i pęka ona, rozwiera się, zwraca światu pozornie tylko znikniętą formę życia. Tak w czasach naszych zmarłych powstałi Czesi, Celtowie irlandzcy, walijscy i bretońscy, Słowianie południowi i t. d. Tak języki umilkłe przemówiły, energie zgaszone wybuchnęły, przeszłości zapomniane do pamięci powróciły i głębiej jeszcze niż przed wiekami słowo „ja“ i słowo „jestem“ zaryły się w serca i wole pomdłałych lub uspiomych, lecz wiecznie żywych narodów.

Taką jest prawda wyprowadzona z nauk o przyrodzie i z nauk o historii ludzkości. Ale są ludzie, którzy nie liczą się z prawdami wskazywanymi przez naukę i na widok strasznych następstw, które sprowadzają dla ludzkiego świata pomiędzy plemienne nienawiści i walki, marzą o zlaniu wszystkich grup ludzkości w jeden monolit, któryby posiadał jedną duszę, jedną mowę, jeden rytm serca, myśli i krwi. Są to marzyciele, w których rozmiar serce przenosi o wiele rozmiar głów a marzenie ich jest utopją, w źródle swem szlachetną, lecz jak wszelki dobrowolny czy mimowolny fałsz, w skutkach swych szkodliwą. Na co liczą dla urzeczywistnienia się tej utopji? Na cywilizację. Cywilizacja ma być tą siłą, która zgładzi wszelkie pomiędzy narodami różnice i ze wszechświatowego materiału ludzkiego wyleje jedną bryłę, wykuje jeden monolit. Gdy wszyscy staną się oświeconymi, wszyscy pokochają się, upodobnią i staną się szczęśliwymi.

Jest to znowu fałsz i właśnie dzieje się z tem zupełnie przeciwnie. Pomijając nawet to, że oświata nie jest bynajmniej synonimem wzajemnego kochania się i że kultura umysłów a kultura serc i charakterów to dwie rzeczy osobne, które bynajmniej nie zawsze w parze ze sobą chodzą, cywilizacja sama przez się wzmaga energje narodów do potęgowania i bronienia od zagłady swych odrębności indywidualnych.

Dzieje się z tem tak samo, jak z osobnikami pojedynczymi.

Człowiek z umysłem śpiącym i sercem leniwem nie wie jakim jest, ani jakim być chce, — właściwie nie chce być takim, ani innym, chce tylko być sytym, walczy tylko

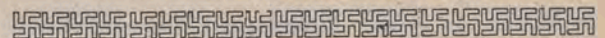
o obfity żer i spokojny sen, drży tylko przed bólem fizycznym.

Człowiek z rozbudzonemi władzami myślenia i uczucia, ma tysiąc myśli w głowie i tysiąc strun na sercu napiętych; przez te myśli i przez te struny czuje się samym sobą, pragnie pozostać samym sobą i na przeciwne wiatry rzuca się z walką o swoją myśl, o swoje słowo, o swoją pieśń, o swoją duszę, o swoje osobnikowe „ja“.

Tak samo z narodami. Oświata, cywilizacja wogóle, rozszerza plany widzenia narodów, pomnaża struny ich wrażliwości, wydobywa na jaw i w czyn żywy zamienia potencjonalne przedtem tkwiące w nich zdolności, a przez to wszystko pogłębia i uplastycznia ich odrębności narodowe, czyni je odczuwanemi silniej, rozumianemi jaśniej i co zatem idzie, natarczywiej trzymającemi się bytu swego lub o trwanie jego walczącymi.

Ale i inne jeszcze zadanie spełnia cywilizacja względem faktu istnienia różnych indywidualności narodowych. Potwierdza ona naturalne ich prawo do istnienia, przynosi do obrony tego prawa przeciw przemocy i przymusowi pomocnicze pobudki i pojęcia. Przynosi pomiędzy innemi pojęcie o panującej w rodzie ludzkim niezłomnej pomimo zachodzących w nim różnic interesów, cierpienia i myśli, solidarności. W blaskach umysłowego światła ród ludzki ukazuje się jako organizm złożony z wielu narządów różnego kształtu i do różnych czynności przeznaczonych a narządami tymi są narody.

* * * (d. c. n.)

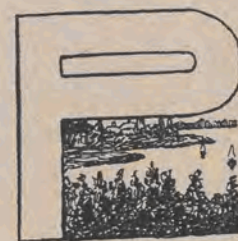


WACŁAW GAŚSIOROWSKI.

6)

WOJNA NARODÓW

powieść historyczna z epoki napoleońskiej.



proboszcz zachnął się i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Po tej rozmowie jednak, ksiądz Potkajtys jakby większej względności dla pana Tomasza nabrał. Książy pacholek barzej go doglądał a nawet dogadzać zaczął. Zeszło tak podporucznikowi ośm coś dni. Wydobrzył był nieco, sił odzyskał, zbył się potrosze okropnych wizji niedoli przebytej, — gdy niespodziewanie proboszcz oświadczył mu, że ani dnia dłużej gościć go u siebie nie

może, że cała ludność żyźmorska burzy się nań za przygarnięcie Francuza, że w rezultacie on, ksiądz, wbrew swemu serdecznemu przekonaniu, bacząc na młody wiek pana Tomasza, miał dlań wyrozumienie, lecz i tak uczynił więcej, niż był powinien...

Proboszcz w podobnym sensie długo się rozwodził. Rozповідаł dziwy o bandach zbójcekich, grasujących w okolicy, o tem, że maruderstwo wszelakie, owi rzekomo wielcy żołnierze Napoleona, przedzierzgnęli się w opryszków, że stąd oddziały konnicy wyruszyły na wsze strony z Wilna na chwytanie i wieszanie nikczemników, że Napoleon samotrzeć się salwował, ale niechybnie będzie pojman i srodze za nieprawość swoje ukaran.

Długo tak prawił ksiądz Potkajtys. A pan Tomasz nie zdolen był nawet ogarnąć doniosłości przekładanych mu wywodów. Rozumiał jeno, że znów czekają go dnie i noce beznadziejnych męczarni, głodu, zimna, powolnego konania, że nie przeżyte cierpienia, lecz ten kąt zaciszny, to wypocznienie było snem wśród nieublaganej jawy.

Aż proboszczowi czegoś do własnych racji przekonania zabrakło, bo zachłysnął się w pół słowie, trzasnął wieczkiem tabakierki i zakonkludował łagodniej:

— A ot, gdybyś acan pocziwiej rady usłuchał, to do Wilna byś nawrócił, pisanie do pociotka mego, co przy generale Borozdinie służy, byś wziął i do łaski się opowiedział.

Pan Tomasz drgnął.

Ksiądz Potkajtys skinął twierdząco głową.

— Cóż, błędy pocziwie wyznać, w pierś się uderzyć, z opętania wypowiedać! Hm! Wielkie jest miłosierdzie naszego prawowitego władcy! Hm, kto wie, kto wie—prosić...

— Raczej zginać! — wybuchnął podporucznik.

Błada, ascetyczna twarz proboszcza spłonęła.

— Takiś zatwardziały!..

— Bom się zaprzańcem nie urodził.

— Więc jutro, skoro świt, pójdziesz sobie precz!

— Dziś sobie pójde, aby nie dręczył waszej miłości ojczyzny...

— Milcz i błogosław dobroć, która cię uchroniła przed sprawiedliwą pomstą żyźmorskiego ludu.

— Boleję nad ludem, któremu przewodzi...

— Ani słowa więcej, włóczęgo! — zakrzyknął groźnie proboszcz.

Podporucznikowi oczy się rozżarzyły. Za pierś się chwycił, jakby ją chciał unieść do tchu nabrania. Zaczem pochylił się, niby do rzucenia się na proboszcza.

Ksiądz stał wyprostowany i mierzył pogardliwym spojrzeniem wątlą, łachmanami spowitą postać pana Tomasza. Widział przed sobą nędznego robaka, którego właden był zdeptać a dla nicości, bezsilności którego miał litość. I oto już proboszcz zamierzał ominąć go, odejść, pacholceki zawierzyć wymiecenie marnego stworzenia, gdy, naraz, maruder, włóczydroga, żebrak dźwignął głowę i wzrok swój ze wzrokiem proboszcza skrzyżował.

Księdza Potkajtysa niepewność ogarnęła. Smukłe, zeszcłe palce jego rąk jęły muskać odruchowo guziczki sutanny — oczy przygasać, mrugać. Proboszczowi rezonu raptem nie stało, bo oto, tuż przed nim, z łachmanów wyrastało widmo dumne, wyzywające, ponure, zadufane.

Proboszcz usiłował znaleźć jakoweś ostateczne ozwanie i zakończyć rozprawę. Napróżno. Myśli, stanoweze konkluzje, które przed momentem cisnęły mu się do ust, pierzchły, zapodzwały się.

Ksiądz Potkajtys brwi ściągnął, przysłonił powieki i wysunął się z komory.

Podporucznika podczas bólu i gniewu trawiły na przemian.

Tak, tak, gdyby nie zachowanie, które wpojono weń dla duchownej sukni, gdyby nie cześć, nie pamięć na zacne oblicze opatowskiego dziekana, chwili by się nie wahał, życie by dał, lecz obelgę pomścił! — Włóczęga! — Po latach udreki, tęsknoty, po tylu cierpieniach, gdy nakoniec mógł krzepić się wiarą, że rodzonym, powinnym tęsknicom ofiarę krwi niesie, że dla ziemi polskiej, dla jej promiennej przyszłości dźwiga krzyż męczeński — oto pada weń obelga. Obelga wita go u proga własnych niw, obelga pada nań z ust kapłana i Polaka!

Śmiech ostry, gryzący zachrobotał panu Tomaszowi w gardle.

— Cha — cha — a przecież sromał się dotąd bezbożności, a przecież osobliwie towarzysom — Francuzom wyrzucał brak zachowania dla kościoła, pomstował na bluźnierstwa! Cha — cha, i doczekał się nakoniec!.. Doczekał pieczy, miłosierdzia księże-go i chrześcijańskiej pociechy! — Lecz zaiste



Stefan Fillpkiewicz.

(Sala. art. Richlinga)

Strumień w zimie.

dość ma kleszej gościny! Wolej natychmiast odejść, ruszyć na zgon niechybny, na włóczegów kres. Ani kęsa chleba (więcej, ani łyżki strawy. Odejdzie, pójdzie zaraz, natychmiast. Wszystko jedno dokąd, byle najdalej od tych kątów. I nic z nich nie weźmie, zostawi im i ten kubrak i szmaty, którymi rany mu przewiązano i gałgany, którymi mu obolałe spowinięto stopy.

Podporucznika szal rozpaczy ogarnął. Zerwał z siebie kubrak, bandaże, przewiązki, za kij swój porwał i bosa, odarty, biedniejszy, niż był tu przybył, wyszedł z komory na podwórzec plebanji ku opłotkom...

Była noc. Niebo skrzyło się gwiazdami, mrugało w djamentach, stężonych mrozem śnieżnych kryształów. Śród bieli, ścielącej się wokół, pomiędzy dwoma rzędami brodatych sopłami lodu strzech, wiła się ciemna, zbrukana wstęga gościńca.

Pan Tomasz, przejęty wskroś zimnem, ścinającym technieniem wiatru, przystanął, zaparł się o opłotki, spojrzął ku górze, jakby jeszcze z wysokości firmamentu znaku czekał. Po szafirach srebrem dzierganego stropu gonily się białe, swywolne obłoczki.

Podporucznik westchnął, kłębem pary własnego oddechu się spowił i ruszył w drogę.

Tuż za nim plebanja wybuchnęła zgietkiem, zamigotała ognikami gorączkowych światełek, pan Tomasz ani się obejrzał, ani zważał, — szedł.

Śnieg skrzypiał mu pod stopami, kałuże pryskały ostremi złomami lodu, chaty witały i żegnały warczeniem kundysów, — podporucznik szedł, szedł nie bacząc, że co kroku groziło mu pojmanie, że mróz odrętwiał mu stawy, że biel bezbrzeżna, w którą zanurzał się gościniec wiała grobem.

Hen, poza nim, głuche echo ludzkiego nawoływania rozległo się podwakroć. Pan Tomasz i głowy nie odwrócił. Gonią go, ścigają — niema się przed czem, niema przed kim się chronić. Pałka czy bagnet, głód czy mróz, wilk albo li człowiek jednego dokazać mogą, dać mu ukojenie...

Podporucznik potknął się. Z pod śnieżnej zaspas wychynęło przed nim spiętrzone ogrodzenie z kamieni. Pan Tomasz spojrzął ku górze i zaśmiał się sucho. Ponad ogrodzeniem wystrzelał ku niebu czarny dwuramienny krzyż.

— Sztandar żyźmorskiego proboszcza! — mruknął do siebie i odwrócił się, aby minąć przeszkodę, gdy wtem jakiś głos zdławiony zakrzyknął nań tuż.

— Stójże, na Boga!

Pan Tomasz jakby nie słyszał zawołania. Lecz tuż na ramieniu jego zaparła się ręka i ciemna długa sylwetka stanęła tuż przed nim.

— Na Boga, na Boga — upominał zadyuszany głos — tak nie możecie, tak wam nie dam...

— Co—czego? Trza wam mego ścierwa! Dalej — jam bezbronny!!

— Człowieku, pasja cię unosi! — Chodź tędy, tędy... byle w zagajnik, na leśniczówce na cię czekają...

— Wole tu!

— Dobra waszego pragne!

— A tyś coś za jeden?!..

— Widzisz przecie, nie wróg, swojak, ksiądz!

— Ksiądz? Znam was zaprzańców!!

(d. c. n.)



Uczta Heliogabala.



uczta dobiegała końca. Niewolnicy rozwieszali już tylko girlandy róż, których coraz świeższe kielichy tulily się do alabastru filarów. Porządku nikt nie pilnował, nie dbając bynajmniej o siebie, lub sąsiada. Wszyscy biesiadnicy, nie wyłączając Cezara, pijani byli, a niektórzy z nich tarzali się już pod stołami. Rudowłose bachantki i cudne, greckie dziewczęta zrzuciły hijacyntowe tkaniny i oswobodziwszy piersi z złotych siatek, zajęły triclinia obok gości... Upojonych zapachem nagich ciał ogarnęło szaleństwo. Dziłki, chaotyczny bezład śmiechów, zmieszał się z jękiem tłuczonego szkła. Gaszono falernem płonące trójnogi, bito w miedziane lampy, rozlewając wonną oliwę. Sala wyglądała, jak olbrzymie pobojuwisko. Mozaiki posadzek przywalał stos naczyń, zakwitłych krzewami róż, na falach cypryjskiego wina. Rzeźbione delty forming, różnotęczowe konchy, poławiane u brzegów Eufratu, białe posągi bogów spętały się w jakiś bezimienny majak, przeplatany ciżbą krzykliwych i półnagich biesiadników. Zdawało się, że

nikt nie wybiegnie z zaczarowanego koła, że nie wie, kim jest i czyich szuka ramion. Tylko niewolnicy znosili coraz to świeższe róże i upinali od pułapu do ziemi duszące wonią girlandy.

Heliogabal spoczywał pod purpurowym baldachimem i ziewał sennie. Nie brał udziału w ogólnej orgji, wychylając krużę za krużą, z uporem człowieka, który chce zapieć nudę. Bezmierny przesył kleił mu powieki, wino zaś, potęgowało grymas niesmaku na sinawych wargach. Twarz jego, prawie pacholeca, ujęta w zwoje trefionych obyczajem wschodnim kędziarów, odbijała od szkarłatnych poduszek, jak maska zmarłego. Trupia bladeść ścięła rysy i nadała im lodowy chłód marmuru. Niemocnym, leniwym ruchem, prawie bezwiednie, przygarnął do siebie grecką nałożnicę i mrużył zarazem swe śliczne, dziecięce oczy, unikając jej wzroku. Paliła go złocistą nagością młodego ciała, upajała baśnią syreniej kraszy... Lecz on, obojętny, ginący pod fałdami wyszytej srebrem chlamidy, wyglądał, jak ten, którego nie olśnić nie zdoła i leżał wśród kwiatów podobny jednemu z kamiennych posągów, zdobiących pałacowe ogrody.

Biesiadnicy zajęci sobą, nie widzieli nudy Cezara. Jedni spali na tygrysiach skórach, inni, szukając ust bachantek, sławili Venus i Erosa. Zmilkły formingi, światła pogasły... Słychać było tylko całunki, szep-

AMBO MELIORES.

1.

*Rzecz jedna ludzi stronami dwiema.
Dobro, jeżeli jest już w przeszłości,
Złem jest: że przeszło, człowiek się złości,
Tak jak się cieszy złem, że go niema.*

*Masz prawdę w całej okazałości.
Niech nie zdejmuję cię przed nią trema.
Jest dowiedziona ta teorema:
Że złe bez dobra, dobrze bez złości.*

*Tak się bliźniaczo z dobrem zło splata.
Rzecz jedna różna formą jedynie,
Dobro jest dobrem — dziś, złem — gdy minie,
Zło, dziś złe, dobrem jest, gdy ulata,
Po dobrych złe, po złych dobre lata:
Te prawdy zapisz na pargaminie.*

2.

*Wczoraj ginęli z wielkiej miłości,
Mówiąc, że szczęścia większego niema.
Dziś się skończyło cudne poema:
Dobro ich dziś ma pozory złości.*

*Rzecz jedna ludzi stronami dwiema:
Zło dobrem jest, gdy jest już w przeszłości,
Gdy minie dobro, człowiek się złości,
To dowiedziona już teorema.*

*Jeśli ci złe dziś, nie trać na minie:
Zło dziś złe, dobre gdy już ulata,
Dobro, dziś dobre, złem jest, gdy minie.
Przeminą dobre, przejdą złe lata,
Jak sen się twoje życie przewinie,
Nad zło się wzniesiesz i dobro światła.*

Jan Lemański.

ty, lub zdyszane oddechy. Jakaś ogromna, astartowa pieśń rozdzwoniła się w duszach, pieśń bezwstydną, lecz do hymnu miłości podobna, tęskna, jak zaklęta ballada, jak woń róż upajająca...

Heliogabal ziewał... Męczyła go ta uczta, jej zgiełk i rozpusta. Przeciągał się sennie, nie patrząc na złotowłosą kochankę. W dłoni jego błysła kryształowa czara, usiana płomieniami rubinów. Wino zabarwione czerwienią, pieniało się krwawo. Nie zdołał jednak wychylić nawet połowy stoletniego falerna, usta wykrzywił mu gorzki śmiech i rzucił bezcenny sprzęt na posypane kwieciami mozaiki. Upadł wśród róż i pękł, by serce ludzkie...

Poczem Cezar przymknął oczy, jakgdyby zasypiał, lecz nagle wstał z łoża i zmieształ się z pijanym tłumem.

Oni zaś otoczyli go szalonym koliskiem, witając okrzykami i śpiewem... Posypały się kwiaty, rozgrały formingi. Niewolnicy jęli zapalać lampy, Heliogabal zaś wstrzymał sługi skinieniem dłoni, szepnąwszy coś do ucha germańskiemu wyzwolencowi. Wówczas zrozumiano, że czeka ich jakaś niespodzianka, wszystkie więc twarze przybrały wyraz zaciekawienia.

I oto purpurowa kotara, zasłaniająca jedną ścianę triclinium rozsunała się powoli, a oczom gości ukazały się żelazne wiązania krat, krzyżujących się od sufitu do ziemi. Poza nimi była tajemna przestrzeń, pusta na pozór, niewidoczna zresztą z braku światła. Lecz mrok nie trwał długo. Nagle, rozległ się przeraźliwy ryk i ciemna czeluść wyrzuciła kilkunastu uwieńczonych lwów, z zapalonemi grzywami.

Zwierzęta rozszalałe bólem wpadły na kraty, a spotkawszy zaporę, poczęły latać w szalonych podskokach sypiąc deszcz iskier i kwiatów. Niektóre, nie mogąc znieść straszliwego żaru tarzały się po ziemi, zapienione rykiem tak wściekłym, że twarze widzów, lubo świadomych bezpieczeństwa, pokryła bladeś trwogi. Swąd spalonych kudłów zgłuszył woń róż i nappełnił triclinium mgłą dymu. Jeden z lwów, olbrzymi płowy kolos, wysunął łapę przez kraty i zdarł włosy syryjskiej bachantce, zbyt blisko stojącej ściany. Buchnął nieludzki jęk, lecz zcichł wśród ryku i oklasków. Sala rozwidniła się czerwono i świeciła, jak w dzień.

A niszcząca siła ognia zdawała się coraz to wzrastać, zwierzęca zaś wściekłość

slabnąć. Płomienie objęły teraz całe ciała i w triclinium zrobiło się jeszcze jaśniej. Zdumieni biesiadnicy mniemali, że widzą dziesiątki ruchomych pochodni, któremi Cezar chciał przyświecić im do uczty. Źrenice gorzały ciekawością, gardła ochrypiły krzykiem. Lecz tam ogień potężniał i potężniał, jakgdyby na tryumf swej nieowładłej sile, aż wszystko co żyło, skonało w jego zlocistych uściskach, zmienione na posępne kopce popiołu.

Grzmot oklasków powitał koniec widowiska i zachwycone lica zwróciły się ku Cezarowi. On zaś, wsparty niedbale o ramię złotowłosej tancerki, słuchał z sennym uśmiechem pochwał, zaczem kazał wnieść świeże amfory i formingi zabrzmiały ponownie.

Ale spici krwawem igrzyskiem goście, zamknęli go znów w szalonym kole i jęli domagać się czegoś takiego, czego żaden półbóg nie dał śmiertelnym. Wołali, że jest większy od wszystkich Cezarów, że dla „kochanka Mitry“ niema niemożliwości. „Ukaż nam nowe dziwy, zaćmij szaleństwa Nerona!! Oczaruj nieznaną rozkoszą“!... wołały pijane głosy. „Jesteś wszechmocnym Cezarze“!...



Stefan Pillati.

(Sal. art. Richlinga).

Przed chatą.

Wówczas, stała się rzecz dziwna. Heliogabal, którego nie poruszyć nie zdołało, on, to zniewieściale, zarazem okrutne dziecko, półobląkaniec, gotów kiedyś dla uciechy tłumów ukrzyżować 10 tysięcy andaluzyjskich tancerek, a rzucający najstraszliwsze rozkazy z wiecznie obojętnym, jakgdyby sennym obliczem, usłyszawszy żądanie biesiadników zerwał się gwałtownie, w żrenicach zaś błysł mu zły, tajemny płomień. Nagle szepnął coś jednemu z wyzwoleńców i gdy ten zniknął, rzekł przerywanym przez wzruszenie głosem:

— Chcecie nowych upojeń?.. Dobrze!!... Dam wam dziś to, czego nikt nie dał od początku świata, by do jego końca ludzkość wspominała Heliogabala!!!

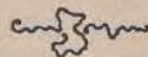
Jak pod zakłębieniem czarnoksiężskiej różdżki, z złotej siatki rozpiętej u sufitu, jęły padać róże, sypane niewidzialnymi rękoma. Duszące wonią kielichy, bez szelestu osuwały się na mozaiki i łoża biesiadników, pokrywając je różnofarbną tkaniną białych i purpurowych płatków. A było ich takie mnóstwo, że całe triclinium zajaśniało majową świeżością, zmienione, zda się technieniem Cerery w olbrzymi rozkwitły gaj. Jakis upajający, prawie nie do zniesienia zapach bił odeni, zapach dławiący zziębniętym omdleniem piersi, straszny, morderczy i cichy zarazem jak sen, jak słodka niemoc rozkoszy.

Za chwilę, na wysokiej galerji ukazał się Cezar, lecz nie dostrzeżono go przez różaną chmurę. Kwietna ulewa wzmagając się teraz do niemożliwych granic, stawała się podobną chorobliwej wizji. Padały już nie tylko róże, ale wszelkie odmiany roślin: tuberozy, hijacynty, magnolie, fiołki, krwawe pęki granatów, lilje, gałązki oliwy, złoty zaś niewód wisiał nad salą nieubłagany, lśniący przedzą pajęczych nitek i sypał ten straszny upajający deszcz, topiąc wszystkich i wszystko. Stoły, trójnogi, marmurowe postacie bogów, nagie czy spowite klejnotami ciała, nikły, jak senne zjawiska. Zapanaował złowrogi spokój i skamieniał biesiadników. Ogarnął ich dziwny bezwład, półletarg, półmarzenie. Jakoż głowy jęły się chylić, ramiona tężeć. Gdzieniegdzie piers wznosiło westchnienie, by zmlknąć lekliwie i drżać. Przez okna wkradał się świt, jasny, różany, oni zaś spoczywali milczący, olimpijscy, beztrośni napozór, zapadając coraz głębiej w kwiaty i coraz bardziej w cichy, upajający sen.

Lecz z złotej siatki kapaly wciąż rozkwitły kielichy, wciąż nowe, świeże, pachnące, aż przykryły wszystko niezmiernym całunem, rozlśnionym łzami brylantowej rosy.

Heliogabal stał na marmurowej galerji i uśmiechał się strasznie — — —

Stanisław Jerzy Kozłowski.



WIKTOR GOMULICKI.

6)

Walc nocnych mgieł.

Chór jęków i skarg wzmagał się — już nie rojowi pszczołemu podobny, lecz wężom ognistym, powietrze w noc Walpurgową przerzynającym.

Pomoc znikąd nie nadchodziła. Czulem, że staję się pastwą widziadeł.

Więc podniosłem głos, aby świadectwo dać prawdzie.

— Uciszcie się, dusze wzburzone, serca rozdarte. Spokój, odemnie tak daleki, w was niech zagości.

Spotwarzacie miłość moją — a jakaż była wasza?

Wszystkim nam Bóg szczęścia szukać pozwolił. Kto szczęścia nie znalazł, niech ze skargą do Boga idzie, nie do ludzi.

Miłość to skarb, co ma na całe życie bogacić. Cóż czynić z nim, gdy tak szczupły, że ledwie na jedną dobę wystarcza?

Są, którym miedziaków garść bogactwem się zdaje. Innym milionów trzeba.

Niegdyś było jedno tylko ognisko światła, niby brylant olbrzymi, w otchłaniach eteru wiszący. Potem brylant na miljardy cząstek rozbito — okruchy jego piaskiem gwiazd niebo usiały. Niegdyś i miłość kobiety była wielkim, całym brylantem. Dziś w sercach kobiet tylko pył brylantowy skrzy się na przynętę.

Szalony, kto osiąść chce całe bogactwo ziemi. Szalony, kto od jednej kobiety żąda tego, na co tylko wszystkie złożyć-by się mogły.

Biada kobietom małej skali, odrobiną pyłku brylantowego wyposażonym, których życie zbiegnie się z życiem tego szaleńca, i równoległe z niem płynąć zapragnie. Jak

drobne strumyki w łożysku wielkiej rzeki, tak one w jego sercu otchłannem zgubią się i zatracą.

Jednak ten szalony jest nim tylko w oczach maluczkich. Jego dusza wyjątkowa w stosunku do ogółu dusz zwykłych jest tem, czem ocean w stosunku do małych, w krajobrazie ledwie znacznych, jeziorok. Jezioroka odbijają maleńką nieba cząsteczkę, gwiazd kilka, jedną lub dwie chmurki — oceanowi trzeba firmamentu. Cóż winien, że go Bóg tak rozległym uczynił?

Każda z was, o płaczki nieutulone, była ułamkiem nieskończoności, małemu tylko jezioroku wystarczającym. Oceanu wypełnić nie mogła.

Ty, ponętna dawczyni rozkoszy, czarze kryształowej, świetnej a kruchej, podobna, zapomniałaś, że rozkosz to jeszcze nie szczęście. Kto szczęście posiadał, jest już spokojny; kto za rozkoszą goni, pijakiem stał się nałogowym — do końca życia podniet, coraz silniejszych, potrzebować będzie.

Tobie, posiadaczko pięknych linii, podziw się należy, jak udatnemu dziełu architektury. Ty wyrażasz ciche, nieruchome zadowolenie. Miły jest widok letniej, nawet podmuchem wiatru niezmaconej pogody, pięknych kwiatów i drzew prawidłowo rosnących, ale burza, która niebo mroczy i zakrwawia, kwiaty strąca, drzewa wywraca i całego pejzażu ład niweczy, posiada czary od twoich potężniejsze...

Ach! i ty skarżysz się, kwiecie wonny, barwna wizjo ziemskiego, utraconego raj? Skarżysz się, że wszystek zapach i wszystek blask z siebie wydawszy, rzuconas jest i zapomniana. Alboż przeznaczenia swego nie spełniłaś? Zabłysnąć komuś i ucieszyć go, a potem zwiędnąć, zgasnąć i w proch się rozsypać — nie jest że to los wszystkich kwiatów?...

Dobruchno! fijołku! stokrotko! *et tu contra me?* Twój jęk, najcichszy i najżałośniejszy, ostrze wyrzutu najgłębiej w mem sercu zatopił. Dobroć to biel, która w sobie całą tęczę barw zamknęła. Przed niczem nie pochylał czoła tak nisko, jak przed dobrocią. Bolejesz, żeś na przyprawę tylko poszła... A czyś zdolna wyobrazić sobie, żeby artysta samą tylko bielą obraz mógł wymalować?

Twój poryk, lwico, ledwie przelotną darszę uwaga. Czemu kto wojuje, od tego ginie. Nienawiść i pogarda nie rodzą miłości i czei. ...Tak mówiłem. A mowa moja stawała



Portret Baltazara Castiglione.

Rafaël.

Niedawno zawieszony w Luwrze na miejscu skradzionej Giocondy.

się coraz mocniejsza i zuchwalsza, bom czułem, że prawdę mówię.

Ozwał się święgot innych głosów — zjadlejszy. Zdawało mi się, że słyszę nad głową szum licznych skrzydeł, że liczne, krwi żądne dzioby z gniewem zajadłym we mnie godzą.

Więc sam gniewem się uniosę i zakrzyknę:

— Ustąpcie, kalekie, niedoskonałe tworzy! Żaden z was nie był całą kobietą, w żadnym kobiecie swojej nie znalazłem. Przy powrotnych wcieleniach, oddawajecie swe małe serca małym duchom, które się niemi do sytości nakarmią. A kyszl!

Ze szczeliny w chmurze buchnęła jasność księżycowa, jak roztopiony do białości metal z hutniczego pieca. Wybrzeże stało w blasku.

Nie było przy mnie nikogo.

Ciszę maciło tylko łaskotliwe całowanie się fal i rytmiczny skrzyp starej, zardzewiałej chorągiewki na baszcie.

(d. e. n.)



6)

STARE LWY.

POWIEŚĆ.



ie rychło, nie rychło wyjrzał stary sługa.

— Kto tam? — zapytał —

— Pelko Jasieniec —

— Niema nikogo, niema! — odpowiedział zmieszany trochę stary sługa.

Jaśnie wielmożni państwo do jaśnie wielmożnych Górków wyjechali.

Kłamał — widać było, że kłamał z musu, tak mu niesformnie słowa te z ust wybiegały.

Rycerz zbladł —

— Zda się widziałem... tu... na ganku —

— Służba, wielmożny panie! służba odgrabywała śnieg — tłumaczył się stary.

Pelko zerwał konia i jak szalencie wypadł za wrota.

Nagle myśl dziwna do głowy mu przyszła, myśl przecuciowa.

Zwrócił konia na polu w bok, skrzył znów ku dworowi, lecz zatrzymał go przed furką sadu wiśniowego.

Rozwarła się, jakby rozwalona mocą jego pożądań.

W kapturku na głowie i jubee podróżnej wypadła z niej panna Dominika i wyciągając ramiona, krzyknęła:

— Uciekajmy!

— W świat! w świat! — zawołał rycerz, porywając szczęście swoje...

Już była w jego objęciach, już na łęku usiadła, już miał koniowi dać ostrogę i wicherem pognać... gdy nagle padł strzał...

Krew bryzgnęła...

Koń zdębił się — i runął, ciężarem swoim przygniatając rycerza.

Za płotem, okalającym sad wiśniowy, stał ojciec Dominiki i wojewoda Włodek. W rękę wojewody połyskiwała rusznica — i dymila.

Co było i jak było potem — pan Pelko nie pamiętał.

Trzy miesiące przeleżał, chorując ciężko od onego przygnięcia ciężarem końskim, a gdy podniósł się z łoża, głucha do niego wieść doszła o zaślubieniu Dominiki przez

Włodka wojewodę i wyjeździe małżonków do Ogrodzieńca.

Taką była tragiedja żywota pana Pelka Jasienca, jaką opowiadał wilkowi staremu w oną noc listopadową.

Zapanowała cisza — —

Milczeli i gość i gospodarz, dwie piersi tylko podnosiły się oddechem nierównym a silnym, jak miechy kuźnie.

Po chwili pan na Smoleniu odezwał się — —

— I co ty chcesz ode mnie?

— Dopelnienia zamiarów, jakie miałem, skręcając koniem pod sad wiśniowy Miechowitzów.

— Wojewodzinę porwać?

— Tak!

— A jako z wojewodą ma być?

— Niech strzeże go Bóg, bym go nie ujrzał! —

Pan Nikodem głową poruszył — —

— Hm!.. — mruknął — jak ta twoja historia do mojej jest podobna. Z pierwszą małżonką wojewody i ze mną prawie taka sama krotchwila się odegrała.

— Toć dramat, gdzie się ważą żywoty ludzkie! — wykrzyknął Pelko — —

— Wielka rzecz — żywot ludzki!.. — mruknął obojętnie Wilk stary; — marny płomyk świeczki woskowej, który lada kiep zdmuchnie!..

— I wyście nie... mścili?.. wy?!

— Trzy razy miałem go w rękę i trzy razy mi umknął.

— Tchórz mizerny! — zgrzytnął Pelko —

— Wiedział, że wilk stary lasy na jego żywot — —

— Opowiedzcie, jako to było?..

— A no! — Ogrodzieńca nie zdobyć, skalnych nie prześwidrować murów a zbyt wielki poczet zbrojnych otaczał go zawždy, bym zwyciężką mógł stoczyć z nim walkę. Zasadzka na nic, bo na baczności się miał a w lasach szpiegów nie mało. — Aż raz spotkałem się z nim oko w oko... Ale—ba!.. na polu walki! Mógłbym czekać leć mu roztrzaskać i niktby gromu ręki mojej nie chwycił... ale — ba!.. wiódł w bój zastęp rycerzy. Od jego przybycia w czas zależała — wiktoria! Swierzbiała mi dłoń... ale — widzisz — Ojczyzna!.. Nie mogłem! — Drugim razem był posłan od króla... do mnie! Przyjechał do Smolenia sam... bez asysty... Bijże go w leć! A toćbym się w pierw na starym haku obwiesił, niżbym mu zatryumfo-

wać nad sobą pozwolił. Białkiem umierających oczu spojrzalby na mnie, onem spojrzeniem mówiąc: zbój — tchórz!.. bo on nim nie był, zaiste! próg mój przestępując. — Raz trzeci...

Tu głos starego wilka załamał się — —

— O mord pewien nie małego szlachcica byłem posadzon. Poszlaki mówiły przeciwko mnie, dowodów niewinności nie miałem. Sprawę zabójstwa on sądził. Że odda mnie katu — wierzyli wszyscy, nie mówiąc już o sobie. Stałem, skrepowany przed groźnym sędzią moim i — wrogiem. Ale straż przekupiona popuściła mi łańcuchów. W pięści trzymałem ciężkie, żelazne ogniwo. „Łeb weźmiesz — szeptałem w duchu — lecz przed tem w oczy ci zajrzy — śmierć!“ Nadeszła chwila badań. W sądowej izbie c'sza, jak makiem siał. O fakt zbrodni nie do świadków niepewnych się zwrócił, lecz do mnie — i rzekł: „Panie Nikodemie — pytam — czyś to a to popełnił?“ — „Nie!“ — krótko odparłem. — A on: — „Wierzę!“ — I z rąk mi zdjął kajdany. Ciskaj teraz żelazem mu w pysk!.. W innych przyjaźniejszych okolicznościach nie spotkaliśmy się ni razu... Więc żywie dotąd... A ja?.. Gniazdo wilcze na swoim Smoleniu uwilem i łupię kupców żydowskich.

Pelko słuchał opowiadania tego i dziwnie mu się na duszy robiło — i nigdy, jako w tej chwili, tak podobny do króla pustyni afrykańskich człek ten mu się nie wydał, gdy z rozwianą grzywą włosów płowych grzał się u stosu ognia i mrucał rzeczy takie niezwykle. Po chwili czolo potarł i zwracając się do „wilka starego“ rzekł:

— Więc nijakiej pomocy nie będę miał od was — —

Stary wilk się poruszył — —

— Tegom nie powiedział... Jeno dowiedzieć się musisz, jak tam jest na zamku ogrodzienieckim, służbę przekupić, by wczas ci wrota otworzyła, a jak już ze swoją kompanją tam się wedrę, to może wieczny odpoczynek zaśpiewamy panu wojewodzie. Na baczności się miej tylko, bo to nie gra w warcaby, lecz w kości ludzkie. W Smoleniu gościne masz, a tam wzrokiem i sercem krwawem sięgaj — — —

Tu wstał i rękę do rycerza wyciągnął —

— Dobranoc, kawalerze!.. znużony jesteś!..

Wyszedł, zostawiając Pelka, znać w izbie dla niego przeznaczonej, bo twarde łożo stało w kątku, niedźwiedziem futrem zasłane i misa gliniana i dzban wody. Pelko patrzył za odchodzącym i długo słyszał stuk kuli, rozchodzący się echem długiem wśród murów zamczyska.

Śniegi zawałyły lasy a w lasach przejścia wszystkie tak, że nawet gościńcem bitym do zamku Ogrodzienieckiego imci pana wojewody Włodka przedrzeć się nie łatwo było, a cóż już mówić o ścieżynach i drożynach bocznych, jakimi w czas inny pospolici ludzie chadzali. Ni konno, ni pieszo nie przebyć tych zasp głębokich: koń zapadnie i po paru skokach rozpaczliwych legnie w sypkim śniegu, niby w pierzynie duszącej; śmiały przechodzień raz i drugi wykaraska się z onej topieli, ale tchu piersi a nogom sił zabraknie, gdy obejmą go zewsząd one lasy nieskończone, drogi obłądne; gdy tur krętorigi na przesmyku stanie, potężny łeb żubra ku ziemi się pochyli, ryś drapieżny na rozłożystym przyczai się konarze, z legowiska kudłaty niedźwiedź wyjrzy, ze snu zbudzony, libo zaszarzeje pysk wilczy o ślepiach zielonych w dzień, krwawych nocą. W chałupie siedź, jeśli ją masz, człecz nie szczęśny, a raczej dopóki śniegi się nie ułożą i pod własnym nie stwardnieją ciężarem.

Bezdomnym włóczęgą potrzeba być, libo skołtuniony łeb mieć rymami, by w one puszcze zawrotne, pełne wądolów zdradliwych, wyrw i wykrotów, zapuścić się samotnie i delektować się pięknościami zimy srogiej, koronkową drzew sędzielizną, które, niby obeliski z kryształu i alabastru rzezane, niepokalane w swojej białości dziewiczej, stoją ciche a tajemniczej zadumy pełne. Okrom modrzewi, nie masz tu drzew innych, a że dzień ich narodzin sam Stwórca tylko pamięta, to połączonych kilku ramion potrzeba, by obwód piersi ich zmierzyć, a szpony krogulcze mieć, by rozedrzeć sploty igliwia, które do ziemi długimi festonami spływając, ówiekami mrozu zbite, siecią srebrną osnuwają las cały. Ale jakości ani włóczęgów ani amatorów piękności onych nie było: las usypiał w ciszy nadchodzącego wieczora, złościł się promieniami zachodzącego słońca, później zcierwieniał, zszarzał i ukrył się w mrokach nocy.

Niebo wyiskrzyło się gwiazdami...

A no — było to w przeddzień Panny Marji Gromnicznej. Rują wałęsają się te bestje dzikie, a puste brzuchy mają, w trzewiach głód — więc wyją. Najświętsza Panna w ony czas po polach chodzi i odpędza od zagród kmiecych bestje one, chroniąc dobytek ludzi biednych.

(d. c. n.)



Konarzyny i Sibica.

W rozgwarze lamentów i jałowych dyskusji, zapominamy o tragicznych, alarmujących faktach. Skromna notatka dziennikarska przynosi wiadomość i ginie bez echa, bez wywołania akcji, bez następczenia komuś choćby najdrobniejszej refleksji. Społeczeństwo, oszołomione wymysłami, dowcipami lub zręcznymi piruetami, obojętnie patrzy w przyszłość swoją, no, bo przecież skoro każe mu się wierzyć lub też załamuje się ręce przed kretynizmem, bezdusnością masy społecznej, nie dziw, że będzie spokojnie patrzyło na obojętne dyskusje, na harce piór i języków.

Nie nauczono ogół nasz myśleć. Nie postarano się, żeby ogół nasz wyrobił w sobie jasną świadomość zadań swoich społecznych. Masa, jako taka, zawsze posiada w swojej bryle zarodki instynktów, które prowadzą w kierunku samozachowawczym. Ale to nie wystarczy. Chodzi o świadomość zadań, o świadomość obowiązków.

Poezja nasza spełnia swoje zadanie. Budzi uczucia, daje wyraz uczuciowości naszej. Inaczej jednak wypada ta rzecz w publicystyce. Publicystyka, albo drapuje się w płaszczyźnie poetyczności, albo drwi, chłoczszcze, neguje, nigdy zaś nie wskazuje realnych celów, konkretnej taktyki.

Wiadomą jest rzeczą, że narody stoją przedewszystkiem organizacjami społecznymi. Zorganizowany kapitał, zorganizowane piśmiennictwo, zorganizowana opinia — oto fundamenty bytu społeczeństw. Anglja zawdzięcza swoją powagę i wpływ organizacjom społecznym, Niemcy wysunęły się na czoło mocarstw też przez zorganizowany kapitał, Japonja stała się pierwszorzędnym państwem, bo Tokio nie zapomina, że dobro i potęga kraju, leży w ekonomicznej organizacji. Wypływa z tego już zupełnie jasno, że, chcąc pracować z pożytkiem, trzeba dbać o zorganizowanie kraju, o rzucenie tego fundamentu pod życie gromadzkie.

Gdyby u nas, miast czczych



OTWARCIE SEJMU WE LWOWIE. Akt odczytuje marszałek Badeni.

(Patrz art. o polityce str. 16).

negacji, zorganizowano, w najszerszym tego słowa rozumieniu, był nasz narodowy, moglibyśmy nie martwić się o przyszłość. Jest jednak inaczej. Co prawda ku urzeczywistnieniu tego, stoją dość poważne przyczyny natury politycznej, ale to nie znaczy, że wogóle nie możemy nic robić. Nawet w tych dozwolonych granicach nie robimy wszystkiego, co powinniśmy wypełniać. Przesłoniliśmy sobie oczy paragrafem zakazującym i lękamy się nawet złudzeń, czyniąc z siebie zbolących płaczków.

Taką sprawą, która mogłaby się wydać na pierwszy rzut oka „drażliwą“, a została poniechana w głośnych lamentach zawodowych karawaniarzy narodowych, gdyż mieli wtedy sposobność płakać nad chelmszczyzną, jest wykup przez Niemców szkoły w Sibicy pod Cieszynem. Za 25.000 koron sprzedano polską szkołę! I nie drgnęły w sercu całego społeczeństwa struny oporu, nie podyktował rozum, że skoro stać nas na huezne karnawały na Rivierze, to muszą się znaleźć pieniądze i na Sibicę.

Gdybyśmy byli narodem o zorganizowanej opinii — fakt ten stałby się już w samym zarodku przedmiotem wołającym o

pomoc, wołającym o ratunek! Tak: gdyby!

Lecz, wobec lamentów i płaczów, wywołać chłodny rozsądek na widownię i nakazać posłuch dla spraw tak... „małych“, jak szkoła w cieszyńskim, przyznać muszę, że jest niemiernie trudno. Nam zawołania nie pomogą. Nikt nie wysłucha naszych łkań. Powoływania się na sprawiedliwość też powinniśmy zaniechać. Nasz idealizm jest przedmiotem drwin humorystycznych lub podłożem krwawych ironji. Skupiona i wyciężona praca, oto tarcza, za którą możemy bezpiecznie się skryć. W tym kierunku należy skupić cały nasz zapał, całą energję, a wtedy będziemy mogli wytrzymać każdy cios.

Francja, po klęsce, która uszczupliła jej terytorjum o Alzację i Lotaryngję, otrząsnęła się szybko z kontrybucji niemieckiej i zyskała równowagę w swoich interesach ogólnych tylko przez swoją pracowitość, przez niez mordowaną energję, przez swoje zorganizowanie. My, tylko przez takież drogi możemy iść do świadomej walki samozachowawczej.

Sibica nie jest jedynym tylko objawem rozstroju naszego wewnętrznego. Konarzyny

na kaszubach — to drugi taki niepowetowany wypadek. Sprzedano ostatni majątek polski na kaszubach w niemieckie ręce i nikt dość mocno nie piętnuje złej woli jednostki, nikt nie korzysta z tego wypadku, by uświadomić ogół, by zorganizować opinię... Wiem, że tylko gromkie słowa miłości ojczyzny pospalyby się z ust naszych wodzirejów. Ale przecież największą byłoby manifestacją gdyby alarm opinii gromadzkiej przyniósł fundusz na szkółkę w Sibicy, gdyby znalazł się kapitał polski na kaszubskie Konarzyny.

Organizacja opinii, organizacja pracy, organizacja kapitału polskiego zaradziłyby napewno złemu! Społeczeństwo oszołomione harcami zręcznych głośnień słów, przebudziłoby w sobie mózg i nie potrzebowałoby, aż sztucznych podnieć, by je wyprowadzić ze stanu bierności. Nim jednak ten przebudzony mózg społeczny zaczniemy wychowywać, by dojrzał do zadań politycznych i społecznych, starajmyż się choć wskazywać, że istnieją inne drogi, niż oweży pęd płaczu lub beztroskiego śmiechu! Narody europejskie już idą po tej drodze. Każde niemal wybory przynoszą potwierdzenia, że rozwój demokratyzacji społeczeństw zdążyła na jednej linii z rozwojem świadomości, z rozwojem mózgu społecznego. I trzeba zaznaczyć, że jest to jedyna, racjonalna droga dla pedagogiki społecznej. Kto chce budzić i budować kraj jednocześnie, musi obudzonym instynktom i uczuciom dodać do towarzystwa zrozumienie interesów ogólnych. Dobre chęci nie wystarczają. Tkliwość sere i wyrozumiałość uczuć, lub też oburzenia, na nie się nam zdadzą. Trzeba wychować obywatela polskiego, by rozumiał, czemu musi oburzać się lub składać ręce do okłasku, gdy mu to dyktuje opinia ogólna. Wreszcie, niech sam nie będzie tylko echem opinii, niech się stanie współtwórcą sądu społecznego, niech czuje brzemień odpowiedzialności za każdy czyn ogólny i własny.

Publicystyka nasza ma takie ważne zadanie do spełnienia. Musi się nauczyć sumiennie in-

formować ogół o sprawach narodowych i wskazywać drogi do najrychlejszego ominięcia szkopułu, do zwalczania przeciwnieństwa. Stanie się wtedy głosem sumienia społecznego, stanie się wtedy nauczycielką, wychowawczynią, mistrzynią psychologii społeczeństwa. Należy więc z jednej strony budzić świadomość narodową, a z drugiej tworzyć organizacyjne równoważniki ekonomicznej i kulturalnej siły tej świadomości. A moc polityczna zjawia się wtedy napewno!

TEATR.

Kamiński wybrał „Ucznia Szatana“ na swoje jubileuszowe przedstawienie. Sztuka naogół scenicznie słaba, lecz zalety literackie ma niewątpliwie takie, które usprawiedliwiają jej wystawienie. Shaw przecież jest jedną z najlepszych firm literackich Albionu, a poza tem w całym piśmiennictwie europejskim zajmuje placówkę niezwykle oryginalną i wybitną. Jego zły sarkazm, drwiący filozoficzny uśmiech zjednał sobie krytykę całego świata. Nie dziw więc, że na niezwykle święto jubileuszu wybrał jubilat, tak nieodziennego autora, jakim jest Jerzy Bernard Shaw.

Przedstawienie jednak skupiło uwagę całego audytorjum przeważnie na osobie Kamińskiego. Długi, frenetyczny okłask powitał odtwórcę „Staćzyka“, „Wielkiego Fryderyka“, i „Schylloka“. Scenę zasypano kwieciami, otoczono zwartem kołem



Kamiński w roli Schylloka.
(Wybitniejsza, kreacja artysty).



Kamiński w roli Jusowa.
(Wybitniejsza kreacja artysty).

podarunków „Margrabiego de Priola“ i „Kalinę“.

Ciekawe są losy talentu Kamińskiego. Rozpoczynał od... niepowodzeń, jak nomada musiał koczować z prowincjonalnymi trupami, aż wreszcie po wielu latach trudu zwyciężył i to zwyciężył bez apelacji, bez zastrzeżeń. Jest jeszcze pewna garść niezadowolonych snobów lub zazdrosnych niedołęgów, lecz z tymi dzieje naszego teatru liczyć się nie będą. Kreacje Kamińskiego przejdą w tradycję, jak przeszły postacie Żółtkowskiego, Królikowskiego. Już dziś wielu aktorów gra, jak Kamiński, prowadzi dialog sposobami Kamińskiego, chodzi po scenie, charakteryzuje się à la Kamiński. Jutro napewno ten kult jeszcze więcej się wzmożni, jutro w perspektywie czasu wyolbrzymią kształty misternego „Schylloka“, demonicznego „Fryderyka“.

W „Uczniu szatana“ Kamiński czarował maestrą swojej wielkiej szkoły aktorskiej. Grał dyskretnie, tkwał pajęczą sieć krwawego żartu Shaw'a z taką rozważną tendencją, że każdy mógł zauważyć, gdzie leży myśl ironji angielskiego poety. Długo wywoływano, oklaskiwano mistrza sceny polskiej, nie zapomniano jednak i o innych uczestnikach tego wieczoru. Zbierał okłaski p. Wolski, ogólnie podobała się „gamonio-watość“ p. Owerły i dzielna gra p. Wilczyńskiego. Wystawa była świetna; tłumy poruszały się

naturalnie, chwilami miałem złudzenie, że jestem w teatrze Reinharda lub Stanisławskiego. DIALOGI zaś były prowadzone z francuską pieczołowitością. Komedja paryska mogłaby tylko rywalizować z dialogiem Kamińskiego z Wolskim w scenie sądu.

Teatr p. Zalewskiego wznowił „Lenę“ Jasienieczyka. Podobno wznowienie nastąpiło tylko dla dania możności pannie Szylling do zagrania tej historycznej postaci. Wykonanie bowiem Leny posiada swoje tradycje. Kiedyś grała ją tragicznej pamięci Wisnowska, później p. Irena Trapszo. Rywalizacja z temi wykonawczyniami była bardzo trudna. Trzeba było przewyciężyć te żywe wspomnienia i stworzyć postać, któraby w zupełności kasowała poprzednie kreacje. Panna Szylling, niestety, nie podolała temu zadaniu. Najlepsze momenty nie wychodziły poza ramy poprawności. Całość płaczkliwie wlokła się, dłużyła. Pan Szarski, w roli męża, grał niekonsekwentnie. Najslabszym jednak był p. Kuncewicz. Jego idealny Janek był jakimś nieporozumieniem.

„Chłuba naszego miasta“ w teatrze zjednoczonym znów święci swoje tryumfy. Po „Weselu“ dał p. Zelwerowicz utwór, stojący na wysokim poziomie literackim, a przytem dobrze wyreżyserowany. Chętnie też słucha publiczność, gdy ze sceny sypią się drwiny pod jej adresem, chociaż to tylko była mowa o duńskich małomiasteczkowych stosunkach. Małomiasteczkowość wszędy jest jednaka; w Pacanowie czy w Hoche-nau obmawiają się bliźni nasi, udają enotliwców, robią moralność, a przecież w gruncie rzeczy zgnilizną i brudem zieje im z dusz. Teatr zapełnia się po brzegi i słusznie, bo sztuka jest zupełnie dobra i gra może zadowolnić nawet wybredne wymagania. Pan Zelwerowicz wspólnie zagrał „Chłubę“ malarza, pani Starska — baletnicę z trupy wędrownej, cyrkowej. Dobrym był p. Neubelt i p. Orliński. Antrakty tylko były zbyt długie.

E. C.



- 1) Edward hr. Chrapowicki, inicjator Warsz. Tow. Cyklistów i pierwszy wice-prezes. 2) August hr. Potocki, pierwszy prezes. 3) Seweryn ks. Czetwertyński, obecny prezes. 4) Antoni Fertner, obecny wice-prezes. 5) Stanisław Leppert, kapitan.

Jubileusz Towarzystwa Cyklistów.

Uroczystość jubileuszową rozpoczęli cykliści nabożeństwem w kościele pp. Wizytek. Nabożeństwo odprawił ks. kanonik Zygmunt Chelmiński. W nabożeństwie wzięło udział spore grono dawnych i obecnych członków, oraz w pełnym składzie zarząd towarzystwa. Wieczorem zaś podejmowali cykliści okazłą ucztą swoich członków i gości. Na sali był obecny Henryk Sienkiewicz, który zaszczylił zebranie swoją przemową.

Inicjatorem towarzystwa, był nieżyjący już Edward hr. Chrapowicki, który w dniu 6 kwietnia 1886 roku zaprosił do siebie grono osób, by przedłożyć im projekt stworzenia związku i krzewienia sportu cyklistycznego. Projekt ten niebawem został urzeczywistniony. W dosyć krótkim czasie towarzystwo rozrosło się bardzo i mogło z własnych funduszków zdobyć dla siebie tak obszerną i wygodną siedzibę, jak Dynasy.

Obecnie prezesem jest ks. Czetwertyński, wiceprezesem p.

Antoni Fertner. Towarzystwo urządza rok rocznie szereg wycieczek, wycieczek turystycznych, posiada swój własny chór, a nawet „kółko dramatyczne.“ Widzimy więc, że cykliści dążą też do ożywienia życia towarzyskiego; nieraz dali się poznać, jako gorliwi sprzymierzeńcy w pracy filantropijnej i społecznej. W roku 1903 urządzili pierwszą u nas wystawę sportową.

Jednocześnie z jubileuszem towarzystwa przypada uroczystość jubileuszowa wiceprezostwa p. Ant. Fertnera.

Długo bawiono się na Dynasach. Prawie wszystkie Towarzystwa były reprezentowane, a na uroczystość przybyło sporo wybitnych osób z Henrykiem Sienkiewiczem na czele.

Jubilat, p. Fertner, otrzymał szereg upominków. Sądzymy, że owocna działalność wiceprezesa, jak i towarzystwa, będzie służyła przykładem dla wielu przyszłych pokoleń. Niech więc nam żyją dzielni cykliści!

Z MUZYKI.

W bieżącym sezonie koncertowym, który ledwie że dobiegł do połowy, przewinęła się już na estradzie pokaźna liczba sił obcych i swojskich.

„Urok“ *zagranicznego* nazwiska magnetyzuje... Nie mamy widać przekonania do naszych sił rodzimych. Nieraz marnota importowana pociąga nas stokroć bardziej, niż pierwszorzędny talent na polskiej wybujały glebie.

Nie warto iść na koncert kompozytorski Różyckiego, który siłą swych kompozycji wzbija się nieskończenie dalej ponad przeciętność, lecz *warto*



JÓZEF TOŁKACZ,
laureat konkursu muzycznego.

iść na przeciętne wirtuozowskie popisy np. choćby p. Francillo Kaufman, która, poza nadzwyczajnym wyszkoleniem i subtelnym cieniowaniem, jakie na plus podkreślić należy, głosem nie zachwyca.

P. Kaufman imponuje obszerną skalą głosu i wyjątkową długością oddechu; brzmienie głosu wszakże nie zadawalnia wytrawniejszych słuchaczy. Orkiestra, jak zwykle, sumiennie wykonywała utwory Bethowena a także warjacje Guzewskiego.

Na uwagę również zasługują usiłowania sekcji muzyki zbiorowej warszawskiego Tow. muzycznego. Prezes sekcji p. Feliks Starczewski dokłada wszelkich starań by szerzyć zamiłowanie do muzyki, czego dowodem wyraźnym był wieczór Chopinowski, urządzony staraniem sekcji w sali Resursy obywatelskiej. Wieczór poprzedziło słowo

wstępne p. Opieńskiego o Chopinie. Poczem, z odczuciem i zrozumieniem, wykonano szereg utworów nieśmiertelnego mistrza.

Warszawskie Towarzystwo muzyczne coraz to dzielniejsze siły daje nam ze swej wzorowo prowadzonej szkoły przez dyrektora Domaniewskiego.

Świeży tryumf święciło właśnie nad Newą: panna A. Domańska i p. Józef Tołkacz, niedawno ukończeni uczniowie szkoły muzycznej zdobyli powszechne uznanie sędziów i krytyki na konkursie pianistów w Petersburgu. Przedewszystkiem p. Tołkacz zwrócił na siebie uwagę kompozycjami piśmiennymi w klasie prof. Szopskiego.

Znakomity kompozytor rosyjski Głazunow, ofiarował nawet młodocianemu artyście miejsce profesora w jednym z rosyjskich konserwatorjów.

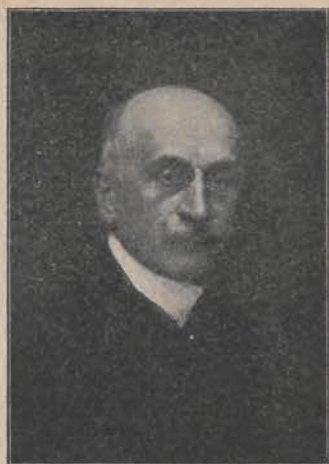
Miejmy nadzieję, że w przyszłości na koncercie kompozytorskim p. Tołkacza w Warszawie będą... szczere pustki.

A jednak jesteśmy muzykami, tylko ta przeklęta sugiestja zagranicy!

Z.

Zakład położniczy imienia Św. Zofji.

Przybywa Warszawie niezwykle ważna instytucja. Wśród warstw niezamożnych powinna się stać błogosławieństwem. Tyle bowiem ofiar pochłania gorączka położnicza, tak nieznosnie składają się warunki życiowe większości ludzi, że nie stać



Dr. St. ZABOROWSKI.

ich na ścisłą higienę, a nawet na jakiś dach nad głową. Z inicjatywy doktora Zaborowskiego powstało to wysoce szlachetne dzieło, on otoczył opieką i urządził z wielkimi wygodami i znawstwem ten dom dla położnic. Zakład może udzielić pomocy rocznie 1200—1300 chorym.

Hojnym zapisodawcą był pan Leon Goldstand, ofiarował bowiem 35,000 rb. na ten cel. Zakład jednak kosztuje conajmniej trzy razy tyle, którą to sumę dołożyło Towarzystwo Dobroczynności publicznej przy radzie miejskiej. Firmy zaś „Rogójski, Horn i Rupiewicz“, oraz „Drzewiecki, Jeziorański i S-ka“ podjęły się robót po cenach możliwie niskich.

Zakład mieści się przy zbiegu ul. Żelaznej i Nowolipia. Wnętrze zdobią artystyczne kopje płaskorzeźb Michała Anioła i della Robii.



ZAKŁAD POŁOŻNICZY.

Sala porodowa.

Przy zakładzie znajduje się szkoła dla akuszerok, muzeum preparatów szkolnych, laboratorium, ciemnia fotograficzna i rentgenograficzna. Instytut położniczy zaopatrzony jest wogóle we wszelkie naukowe, medyczne ulepszenia, urządzenia związane z przedmiotem specjalności.

Oby więcej tak pożądaných przybywało instytucji! Oby więcej myślano nad dobrem społecznym! Wszystkim, którzy przyczynili się do urzeczywistnienia szlachetnej myśli, należy się szczerą, głęboką wdzięczność.

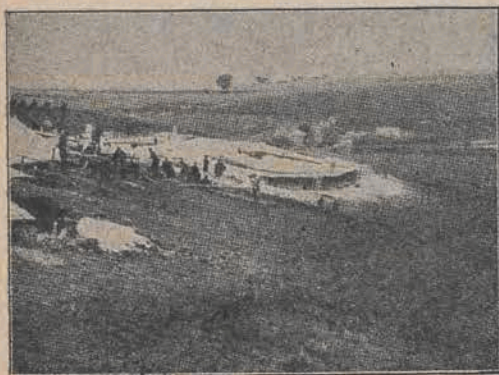
Fundacja polskiego Nobla.

Inżynier Witold Zglenicki, rodem z plockiego, zapisał kasie Mianowskiego dochody z terenu na Kaukazie.

W 1904 r. Zglenicki umarł, egzekutorem testamentu wyznaczając p. Władysława Smoleńskiego, znanego historyka i prawnika z Warszawy.

Cicho jednak było o tym zapisie, milczała prasa, milczał i zarząd kasy Mianowskiego, nie wspominał egzekutor testamentu. A tem dziwniejsze było to milczenie, że 90000 rb. z eksploatacji nafty przez Rotszyldów, zasililo już kasę, a podług coprawda przypuszczalnych obliczeń, miliony być może powinnyby płynąć na rzecz kasy.

Fundacja ta, naszego polskiego Nobla, fundacja na cele nauki, nie interesuje nikogo, nie interesuje—chociaż nawet przy odpowiednim, sprężystym pokierowaniu sprawą, równałaby się którejś z milionowych fundacji Carnegiego...



Teren naftowy, obciążony legatem na rzecz kasy Mianowskiego.

(Widok z przed 12-u laty, przed poszukiwaniami źródeł).



WŁADYSŁAW SMOLEŃSKI,
egzekutor testamentu.

A przecież tu na ustach każdego powinna być ta wieść radosna! Ileż bibliotek, jakież uniwersytet wspaniały, jakież inne oświatowe instytucje mogą powstać.

Czyżby oszołomienie wielkością zapisu, było przyczyną upar-



LEOPOLD br. ROTSZYLD,
miljarder, eksploatator źródeł naftowych.

tego milczenia?... Czyżby tylko jedno tam jakieś piśmiśko codzienne, brukowe miało jedynie głosić o tem? Czyż wszyscy zgodnym chórem nie powinni podnieść tego niemal epokowego dla nas wydarzenia?

Obecnie toczy się proces sukcesorów Zglenickiego przeciwko kasie Mianowskiego. Toczy się nie co do całości zapisu, lecz pewnej jego części, względem której, wobec zaniedbania, nasunęły się jakieś wątpliwości prawne.

Kiedyż nareszcie rozwinie większą czujność i większą energję, strzegąc powierzonego sobie dobra publicznego?

❖ ❖ ❖ ❖ ❖ ❖

Przegląd polityczny.

Posel Bułat urządza ankietę w sprawie liczebności litwinów w gubernji Suwalskiej, by mógł statystycznie udowodnić, że język litewski powinien być dopuszczony do samorządu miejskiego w miasteczkach wspomnianej gubernji. Nie przesądając wyników ankiety, musimy zauważyć, że w obecnych warunkach nie przyniesie zapewne żadnego skutku ta praca. A należy się obawiać, czy nie wniesie dysonansu między ludność polską i litewską! Bądźco bądź takie liczenie może stać się agitacyjnym środkiem, który wywoła „niezadowolenie“ wpośród zagorzałych litwomianów.

Suworin i Mienszykow straszą znów widmem wojny austriacko-rosyjskiej. Powód tylko na ten raz zmienia się cokolwiek. Już nie będą szli na odsiecz „biednym“ rusinom, lecz chcą odcucić Austrię od posłuchu i względności dla polaków. Polacy bowiem pchają Austrię do zbrojeń, polacy przeszkadzają w nawiązaniu węzłów trwałej przyjaźni między ościennymi mocarstwami.

Dotychczas mieliśmy o Galicji wyobrażenie, że jest krajem głodomorów, nędzarzy. Opinia ta wyrosła na skutek głośnej rozprawy St. Szczepanowskiego o nędzy galicyjskiej. Świeżo zebrane statystyczne obliczenia dowodzą rzeczy bardzo pochlebnych, jak na „nędzę“. Okazuje się, że ten kraj „nieprzemysłowy“ i ziemiański przez ostatnie lat 20 podniósł się ekonomicznie. Gdy jeszcze dodamy, że rozrostowi sprzyjać będą kanały, które już rozpoczęto budować, to za lat kilka i ta dzielnica Polski stanie na równi bogactw z innymi częściami naszej ziemi. W każdym razie już dziś „nędza“ galicyjska jest przeszłością, co powinno nas napędzić otuchą i nadzieją na przyszłość.

Nowy gabinet francuski pana Poincarégo ogłosił swój program polityczny. Deklaracja ta zawiera między innymi oświadczenie, że rząd „strzedz będzie interesów i praw Francji, że zjednoczy stronnictwo republikańskie i przeprowadzi reformy podatkowe, społeczne i sekula-



Członkowie honorowi, sztab, weterani i zasłużeńsi strażacy warszawskiej straży ogniowej.

ryzacyjne.“ Prasa przyjęła to oświadczenie naogół przychylnie. Czy jednak długo pozostanie wierną gabinetowi p. Poincaré—to jeszcze pytanie. Ostatnimi czasy padają ministerja po kilku miesiącach. Czy pan Poincaré uniknie tego losu, trudno jest odpowiedzieć, gdyż ma przed sobą szereg spraw, które obaliły już dwa ministerja.

Podobno cesarz Wilhelm tak się przeraził posłów socjalistycznych, którzy zostali obecnie wybrani, że pragnie wojny dla podtrzymania uczuć patriotycznych. Wiadomość ta została zaprzeczona przez urzędowy organ niemiecki, lecz paryski „Gaulois“ i londyński „Temps“ nie

przywiązują wagi do tych urzędowych zaprzeczeń.

Ważną politycznie jest też wiadomość o zmianach, jakie zaszły w angielskim ministerjum marynarki. Na ministra został powołany młody, energiczny Churchill. Na czele zaś sztabu stać będzie admirał Troubridge. Zmiana ta nastąpiła na skutek... kwestji marokańskiej. Podczas konfliktu francusko-niemieckiego myślano o pomocy zbrojnej Francji. Należało więc przetransportować 160.000 żołnierza do Francji, lecz angielscy admirałowie nie mogli poręczyć, że uda się im ochronić dostatecznie tę przeprawę. Flota wojenna angielska, zdaniem ministerjum marynarki, miała być niedostatecznie przygotowaną. Dlatego to z sprawą marokańską związana jest kwestja nowego kierownictwa sił wojennych morskich Anglii.

Sprawa rusińska jest jeszcze nie załatwiona. Telegramy przynoszą coraz to dziwniejsze wiadomości, a rusini zachowaniem się swoim budzą uczucia niesmaku. Nie można powiedzieć, by obstrukcja rusińska liczyć się chciała z czemskółwiek. Tupią, piszczą, wałają w bębny; w zeszłym tygodniu otwarty sejm zamieniają... w kabaret. Pan Studnicki radzi marszał. Badeniemu, by posła Starucha... wyprać kazał po pysku. Twierdzi bowiem, że „chamstwo“ rusińskie inaczej się nie uspokoi, i nie można będzie nic pozytywnego m tej palącej kwestji zrobić...

Ano — zapewne. Nie można nie robić skoro hałas ciągle trwa.

75-letni jubileusz straży ogniowej warszawskiej.

Straż ogniowa warszawska święciła w dniu 20 i 21 stycznia 75-letni jubileusz istnienia.

W pierwszym dniu odbyły się nabożeństwa żałobne za zmarłych strażaków, w drugim zaś rozdano nagrody pieniężne, żetony, zegarki i t. p. zasłużonym członkom straży.

Straż ogniowa warszawska uchodziła niegdyś za jedną z najsprawniejszych w Europie, później atoli na pewien czas schodzi na plan 3-ciorzędny wśród świetnie zorganizowanych straży na zachodzie. Może niefortunny wybór kierowników był tego przyczyną, lecz i brak funduszków ujemnie wpływał na rozwój. Technika robi wielkie postępy a urządzenia i maszyny przy ciągłym doskonaleniu—kosztują krocie.

Zagranica nie liczy się z kosztami, gdy chodzi o ratowanie życia lub dobytku obywateli, u nas jednakże fundusze podatkowe obracane są na inne cele — oświata zaś i urządzenia, mające na względzie dobro publiczne, wypełniają często szary koniec długiej listy rozchodów.

W ostatnich jednak czasach dzięki sprężystemu kierownictwu, straż nasza znów zaczyna się wysuwać naprzód. Zakupiono też sporo nowych urządzeń przeciwpożarowych. I należy tylko widzieć, jak sprawia się straż w Warszawie przy gaszeniu pożarów, żeby znów nabrać przekonania, że przecież *nie wygasła* jej dzielność.



Posel, eksminister Dulęba, powraca z posiedzenia w sejmie.
Zdjęcie migawkowe.



Straż ogniowa przy pracy.

Z Sybiru *).

Tomik niniejszy opowiadań Tokarzewskiego jest właściwie zbiorkiem utworów artystycznych, aczkolwiek nasz autor nie ma zupełnie innego zamiaru, jak opowiedzieć ściśle to, co widział. Zwykła jednak kronika wypadków urasta do potęgi utworu artystycznego, gdyż tematy, jak i sposób ich przedstawienia są nadzwyczaj fascynujące, porażające.

O przyrodzie syberyjskiej mówi nam Tokarzewski z taką świeżością odczucia, że chyba nawet Sieroszewski mógłby się lękać współzawodnika, gdyby Tokarzewski jeszcze żył. Lu-

*) Szymon Tokarzewski. W ucieczce. (Opowiadania wygnaneńca). Str. 108.

*) Szymon Tokarzewski. Z roku 1863 i lat następnych. Opowieść w dwóch częściach.



SZYMON TOKARZEWSKI
powstaniec—katorżnik.

dzi maluje wyraźnie, dobitnie, od razu widać z jakim typem człowieka mamy do czynienia. Proszę, choćby dla przykładu wziąć takiego Nurę-Szacha-Ogyl-Lwa! Cóż za bajeczny, pierwotny okaz, a równocześnie coś za duma spojiera z tych jego czujnych, nieulekłych oczu!

Kto miał kiedyś swojego brata, męża, ojca na wygnaniu syberyjskim, niech książkę Tokarzewskiego przeczyta. Znajdzie w niej świat, w którym cierpiąno za uczucia dziadów i pradziadów, zrozumie Kalwarję naszej duszy zbiorowej. A przecież czyż jest rodzina w Polsce, któraby nie była związana wspomnieniami z tym dalekim śnieżnym krajem? Niech więc czytają tę książkę wszyscy, niech stronicami tych „wspomnień” staną się stronicami naszych wspomnień.

Pamiętniki Tokarzewskiego z roku 1863 są cennym przyczynkiem do zrozumienia psychologii całego powstańczego dramatu. Autor, gdyby chciał, mógłby te swoje opowiadania przekształcić w utwór artystyczny, w zwykłą powieść. Nie chodziło widać Tokarzewskiemu o sztukę, lecz o kronikarską prawdę, gdyż świadomie omija wszelkie efekty powieściowe. Momenty jednak mają w sobie tyle uczuciowego napięcia, że przykuwają uwagę, intrygują, zaciekawiają, jak romans... książkowy.

Najciekawszym typem w tej „powieści” jest pani Chorzevska. Kobieta polska umie dzielić bohaterkie trudy, stoi przy ra-

mieniu męskiem wytrwale i jeszcze zdobywa się na słodycz, na uśmiech. Tym uśmiechom, tej słodyczy, temu bezgranicznemu poświęceniu zawdzięczamy, że niejedna karta naszych dziejów jaśnieje, jak słońce. Ach, gdyby więcej takich kobiet, gdyby więcej idealizmu! Dla naszych zmaterjalizowanych stosunków społecznych, idealizm pożycia Chorzevskich, niech się stanie przykładem. Szczęścia nie należy szukać w wyrzeczeniu się... miłości. Niech sumienie czujnie strzeże wszystkich zakamarków duszy, by nie wdarł się fałsz, nie zapanowała obłuda. Książka Tokarzewskiego może się stać ostrzeżeniem, a równocześnie—przykładem.

Wydawcom tych opowiadań Tokarzewskiego należy się uznanie. Możliwe, że gdyby dostały się w inne ręce, zginęłyby te cenne kartki w kurzawie codzienności. I dla tego też należy wspomnieć ten fakt—jako przykład, i podziękować pp. Bilińskiemu i Maślankiewiczowi.

Popłoch w Paryżu.

Paryż w strachu. Panika w muzeach, na wystawach i w innych przybytkach sztuki... Przyjechał bowiem miliard amerykański, Pierpont Morgan, zapalony zbieracz obrazów bezcennej wartości.

Morgan „król stalowy,” zmartwienia swe, wynikił wskutek walki z organizacją trustów



PIERPONT MORGAN
„król stalowy”, amator starych obrazów.

w Ameryce, przyjechał kość nad Sekwaną, pragnąc ulżyć swym kłopotom przez wydanie kilku milionów na dzieła sztuki, w celu wywiezienia ich za ocean.

Mnóstwo detektywów kręci się wkoło Morgana i po muzeach. Pilnują, by znów jakie arcydzieło nie spotkało się z losem Giocondy, wielu bowiem chętnych chciałoby zapewne napełnić kieszenie dolarami amerykańskiego miliardera... a „usunięcie“ z Louvru chociażby np. takiego Rafaela, który zawieszono właśnie w tych czasach na miejscu skradzionej Giocondy, byłoby gratką nielada.



MASOWE MORDERSTWO. Z lewej strony — mieszkanie zamordowanych, z prawej — chata gajowego.



KAMIŃSKIEMU

w dzień srebrnych godów ze Sztuką.

Nasz jubilat złoto woli
Niżli srebro — rzecz nie zdrożna —
Więc i złoto daje w roli —
Ze ozłocićby go można!

Złoto garnie, lecz i złoto
Teatralnej daje kasie.
Były gody srebrne oto —
Złotych życzym na... parnasie.

Masowe morderstwo.

Masowe morderstwo, dokonane w Borzęcinie pod Ożarowem, jest nowym dowodem zezwierzczenia instynktów, nowym ohydny przejawem nieustającej plagi bandytyzmu. W domu, który dotyka niemal leśniczówki gajowego Brzozowskiego wymordowano 8 osób, wśród których małe dzieci padły również ofiarą zbrojców!

Pomordowani zostali pracownicy administracji kupca, który nabył część lasu od właścicieli dóbr Borzęcin, a więc: Jankłowicz, Weinberg, Erdberg, oraz żony ich i dzieci — ogółem 8 osób.

Przyczyną zabójstwa była prawdopodobnie nietylko chęć rabunku — lecz i zemsta.

Dziwnem się wydaje, że gajowy Brzozowski wraz z bratem, którzy wszak mieszkali o kilkanaście kroków, nie słyszeli krzyków ofiar i hałasu podczas dokonywania mordu.

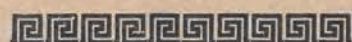
Obu Brzozowskich aresztowano, również i kilka podejrzanych indywidualiów pochwyceno w parę dni później.

Bibliografja.

Dr. Zygmunt Balicki. Psychologja społeczna. Str. 617. Warszawa. 1912. Nakładem autora, z udziałem zapomogi Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowem im. dr. Józefa Mianowskiego. Gebethner i Wolff.

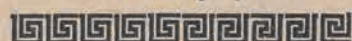
Maurycy Mochacki. O Literaturze polskiej (przedmowa A. Drogozewskiego). Str. 203. Warszawa 1911. Biblioteka „Sfinkska“.

Artur Gliśczyński. Humor i Satyra. Str. 87. Warszawa 1912.



Dr. L. Płużański

Lek. szpit. św. Łazarza. Chor. skór. i wener. (stos. 606). Nowy-Swiat 37, tel. 95-65. Od 1-3 i od 6-8 po poł.



J. Skwierczyński

KRAWIEC

MAZOWIECKA Nr. 11.

Telefon 19-80.

Garnitury: WIZYTOWE,
BALOWE, etc.



MODA.

„Moda“... to króciuchne dźwiękiem a tak obfite treścią słowo, była, jest i pozostanie na wieki, bardzo milem, uroczem — a nawet poważnym w pozornej swej błahości zjawiskiem.

Ku niej zwracają się oczy milionów ludzi, o nią opiera się wszechświatowy przemysł i handel, do niej stosujemy gusty i upodobania nasze, ona żywi całe zastępy pracowników i pracownic, do niej śmieją się cudne oczy... a więc „Moda“ jest potęgą, z którą ludzie cywilizowani liczyć się muszą. Rzecz prosta — że jeżeli wogóle w życiu takt, poczucie tego co można i trzeba, a czego należy unikać, jest nieodzownym warunkiem spokoju i zrównoważenia, to i w rzeczach „Mody“, tak zdradliwie nęcących, należy zachować umiar, poparty rozsądkiem, wskazujący nam to, co dla każdej z nas jest właściwe, przystępne, co może się nadać do osobistych naszych warunków. Tu, na plan pierwszy występuje strona materialna, czyli toaletowy budżet, którego nam przekraczać pod żadnym pozorem nie wolno. Do tej zasadniczej kwestji, przybawiają względy powierzchowności, czyli typu urody, wieku, otoczenia, nawet miejsca zamieszkania, znamienne wpływającego na rodzaj ubrań naszych. Inaczej ubrać się musi o rozwiniętych kształtach mama, inaczej wiotka córeczka. Innych barw wymagają kručze sploty, ogniste oczy i silna karnacja, innych płowe warkocze i tęskne oczy o lazurówem spojrzeń... Tu właśnie przejawiać się musi nasz gust osobisty, poczucie piękna, czyli estetyka. Nie można poddawać się ślepo tej modno-despotycznej Władzy, pamiętając o tem, że przecież nie my dla „Mody“, ale „Moda“ dla nas.

Modny wygląd polega głównie na rysunku, na całokształcie naszych postaci, który już od lat kilku z wyjątkową stałością uległ nieznacznym tylko ewolucjom. Szaty nasze wogóle są wąziutkie, szczupłe, przeważa w nich (mianowicie w strojnych wieczorowych) styl Dyrektora-rjatu i pierwszego Cesarstwa z pierwowzorami tych stylów: Panią Recamier i cesarzową Józefiną. Oczywiście jest to zmodernizowane, zastosowane do terażniejszości. Drugą przewodnią myślą toalet strojnych, jest styl Wschodni, néo-turque, neogrecque, a w ostatnim sezonie tak zwany style Salomé z całym olbrzymim błyskotliwym wschodnim przepychem.

Polki wogóle mają gust i szyk, nie mówiąc już o wdzięku i sławnej na świat cały, urodzie. Chodzi mi więc tylko o ułatwienie Czytelniczkom pogadankami moimi zamieszczanymi w „Złotym Rogu“, kłopotliwych nieraz, toaletowych zabiegów i o pomoc w szybkim zorientowaniu się w rozlicznych szczegółach modnej Wiedzy.

Poza tem składam Czytelniczkom moim całe zdobyte latami doświadczenie z dziedziny racjonalnej higienicznej kosmetyki, czyli zachowania i pielęgnowania piękności. Wszelkie niedostatki cery, liszaje, wagnery, pryszczki, egzemy, wypadanie włosów, przedwczesna siwizna, zbytnia otyłość i t. p., są to plagi, którym zapobiega, lub które leczy postępową kosmetyką. We wszystkich tych wypadkach, proszę się zwracać listownie pseudonimowo do mnie za pośrednictwem naszej Redakcji, na każdy list odpowiem w najbliższym numerze „Złotego Rogu“, udzielając bezinteresownie rad, które zyskały uznanie tysięcy kobiet... Listy proszę adresować dla *Marcèle*.

OD ADMINISTRACJI.

Otrzymałmśmy zawiadomienie z fabryki, że papier właściwy na druk naszego pisma niebawem nadejdzie.

WARUNKI PRENUMERATY:

W Warszawie z odnośnieniem do domu, rocznie rb. 4.— półr. rb. 2.— kwart. rb. 1.—			
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„	„ 4,60 „	„ „ 2,30 „ „ 1,15
Za granicą i za oceanem	„	„ 5.— „	„ „ 2,50 „ „ 1,25
W Austrii i Galicji	„	„ 12 kor. 50 h. „	„ 6 kor. 50 h. „ 3 kor. 30 h.
Numer pojedynczy kop. 10 — halerzy 25.			Zmiana adresu — 20 kop.

Redaktor przyjmuje w sprawach literackich i artystycznych w soboty od godz. 5 do g. 7 wieczorem. Redakcja otwarta od g. 12 do 3 po poł. i od g. 5 do 7 w. Administracja otwarta od g. 10 rano do g. 7 w.

Przedstawicielstwo na Łódź: Biuro dzienników „Promień“.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa.“ Redaktor **Walenty Zieliński**. Sekretarz **Eustachy Czekalski**.

Kłisze wykonał zakład R. SAWICKIEGO, Wspólna 45.

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.